

Na swoim „Pionierze” Gorski często był w Kiemi i ożenił się tam ze szwagierką Jurija Michajłowicza Ajzensztok-Kambułowa – byłego sekretarza Maklakowa w Paryżu – który powrócił do Związku Radzieckiego. Kambułowo to człon dodany do jego nazwiska, kiedy ożenił się z Kambułową, prawdziwe zaś jego nazwisko brzmiało Ajzensztok. To był ochrzczony Żyd i - jak zapewniał - szlachcic (wyjątkowy przypadek), niezwykle piękny. Patrząc na niego, nie wierzyło się w jego istnienie. Nie sposób było słuchać opowieści o jego miłosnych przygodach w Paryżu z powodu ich skrajnego cynizmu. Nie zasługuje na szczegółową opowieść, dlatego wracam do Gorskiego.

Ożeniwszy się w Kiemi ze szwagierką Ajzensztoka, Gorski popłynął w rejs i zrobił to tak, iż ugrzązł na swoim „Pionierze” z żoną w krach lodowych koło Muksalmy. Tym samym wydłużył sobie urlop, przysługujący według łagrowych przepisów młodożeniom.

Później pływał wokół Półwyspu Kolskiego do Murmańska i załoga kryminalistów zbuntowała się przeciwko niemu: donieśli, że jakoby chce uprowadzić stateczek do Norwegii. Gorski zdołał się wytłumaczyć, co w tamtych warunkach nie było takie proste.

Słowem, było o czym rozmawiać, kiedy zachodził do nas do *Krimkabu*.

Później stale spotykałem się z nim – i przed wojną, i po. O tym później.

Georgij Michajłowicz Osorgin

W mojej wzrokowej pamięci dobrze zachował się wygląd zewnętrzny i sposób bycia Georgija Michajłowicza Osorgina. Średniego wzrostu blondyn z bródką i wąsami, zawsze trzymający się po wojskowemu: świetna postawa, okrągła czapka na bakier („trzy palce od prawego ucha, dwa od lewego”), zawsze dziarski, uśmiechnięty, dowcipny – takim zapamiętałem go na całe życie. Był z nim związany także popularny później w obozie żart – na pytanie: „jak się pan miewa?”, odpowiadał: *A lager kom a lager*, trawestując znane francuskie powiedzenie *à la guerre comme à la guerre* (na wojnie jak na wojnie). Pracował jako referent w dziale sanitarnym i często widywałem go snującego się między działem sanitarnym a zarządem obozu na przystani, na dróźnie pomiędzy murem kremłowskim i fosą. Wiele robił, żeby ratować przed pracami ogólnymi słabych fizycznie inteligentów: na komisjach lekarskich dogadywał

się z lekarzami na temat zmiany grupy zdolności do pracy, wielu kierował do szpitala lub do pracy w charakterze pomocników lekarzy (sanitariuszy i felczerów), do której potrzebna była czasem tylko znajomość alfabetu łacińskiego i różnicy między jodyną a rycyną. Brakowało personelu medycznego i lekarstw – zdarzyło się nawet kiedyś, że pomocnik lekarza, chcąc lepiej wyleczyć jakiegoś więźnia, wysmarował całe jego ciało jodyną i ten zmarł. Osorgin był człowiekiem głęboko religijnym, rejestrował się w dziale informacyjno-śledczym, by na Boże Narodzenie i na Wielkanoc otrzymać przepustkę na nabożeństwo w cerkwi (zarejestrowanych prowadzono w kolumnie do cmentarnej cerkwi św. Onufrego, pozostawionej dla kilku mnichów-rybaków). Cerkiew była sergiańska i większość uwięzionego duchowieństwa nie uczęszczała do niej, nie zapisywała się na odpowiednie listy.

Jesienią 1929 roku przed słynną egzekucją 28 października zabrano go do karceru, ale z powodu zwykłego obozowego bałaganu przyjechała do niego na widzenie żona i w Kiemi na to widzenie jej pozwolono. Rzecz prawdopodobnie polegała na tym, iż inicjatywa aresztowania Giorgija Michajłowicza należała do *naczalstwa* na wyspie – to właśnie ono go nienawdziło, drażniły je jego niezależność, energia, niezłomność. *Naczalstwo* na wyspie nie uzgodniło swego zamiaru rozstrzelania Giorgija Michajłowicza z *naczalstwem* na lądzie i w Kiemi wyrażono zgodę na widzenie.

Wszyscy w Gabinetcie Kryminologicznym byliśmy bardzo poruszeni aresztowaniem Giorgija Michajłowicza, a tymczasem spotkałem go na dróźnie, biegnącej wzdłuż muru kremłowskiego, pod rękę z damą nieco wyższą od niego, elegancką brunetką i on ją przedstawia – żona, z domu Golicyna. Nic w jego wyglądzie nie wskazywało na to, że dopiero co został wypuszczony z karceru – rzeński, wesoły, nieco ironiczny jak zwykle.

Okazało się potem, że *naczalstwo*, zdetonowane przyjazdem żony na widzenie, za zgodą wyższego *naczalstwa* wypuściło Osorgina pod oficerskim słowem honoru na czas trochę krótszy, niż przysługiwało na widzenie (mniej dni pozostawało do zaplanowanej egzekucji), pod warunkiem, że nic nie powie żonie o czekającym go losie. I Giorgij Michajłowicz dotrzymał słowa! Ona zaś nie wiedziała o tym, że został skazany na śmierć przez naczelników wyspy. Wróciła do Moskwy i wkrótce wyjechała do Paryża (wówczas każdy obywatel radziecki mógł kupić paszport za walutę).

O rozstrzelaniu Georgija Michajłowicza opowiedziałem jego siostrze Sofii Michajłownie w 1967 roku w Oxfordzie, dokąd pojechałem w związku z otrzymaniem tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Oxfordzkiego. Sofia Michajłowna i wdowa po Georgiju Michajłowiczu, która powtórnie wyszła za mąż w Paryżu, były przekonane, że Georgij Michajłowicz zmarł śmiercią naturalną.

Sofia Michajłowna dała mi na pamiątkę kopię listu Georgija Michajłowicza z więzienia, napisanego do rodziny na Wielkanoc.

Moje spotkanie z Sofią Michajłowną w Oxfordzie nie obeszło się bez pewnej niezręczności. Mówiłem Sofii Michajłownie, że Georgija Michajłowicza szanowali nawet kryminaliści i opowiedziałem o zdarzeniu, o którym mówił mi on sam. Podczas jednej z przerw pomiędzy swoimi licznymi pobytami w moskiewskich więzieniach jechał pewnego razu tramwajem i spotkał kieszonkowca, z którym kiedyś siedział. Kieszonkowiec zapytał go, jak mu się wiedzie. Georgij Michajłowicz powiedział, że się ożenił. Kieszonkowiec pogratulował mu, uściśkał, a kiedy Georgij Michajłowicz wrócił do domu, to znalazł u siebie w kieszeni złoty zegarek. Ponieważ znałem zamiłowanie kryminalistów do wszelkiego rodzaju szpanu, opowieść Georgija Michajłowicza nie zdziwiła mnie. Ale na Sofii Michajłownie w Oxfordzie ta opowieść wywarła nieprzyjemne wrażenie. Zaprotestowała: „Coś takiego nie mogło się zdarzyć!”. Daremne były moje wysiłki, by jej wytłumaczyć, że Georgij Michajłowicz w ogóle nie był winien temu, co się stało, i z pewnością przeznaczył ten „podarek” na jakiś charytatywny cel.

Aleksandr Jeleazarowicz Makiedonski

Tak nazywała go wdowa, którą poznałem dopiero rok temu. A myśmy go nazywali Aleksandrem Macedońskim. Był to zadziwiający człowiek. Opowiadał, że służył w czarnych huzarach u Kołczaka i był z tego powodu, a być może jeszcze i z powodu nazwiska, wzbudzającego od razu zainteresowanie jego osobą, naznaczony na całe życie.

Wciąż czuł się czarnym huzarem, nosił czarne bryczesy i wysokie modne buty. Stale patrzył w dół na swoje nogi, ale nie dlatego, że zachwycał się wypucowanymi cholewami i doskonale skrojonymi spodniami, lecz dlatego, że był krótkowidzem i bał się potknięcia. Pod koniec życia, jak opowiadała mi wdowa po nim, całkowicie stracił wzrok. Nie jest zrozumiałe, jak mógł zostać